

EOIN DEMPSEY

BIAŁA RÓŻA, CZARNY LAS

Tytuł oryginału
White Rose, Black Forest
Copyright © 2019 by Eoin Dempsey
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Dariusz Marszałek
Korekta:
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-951-8

EON DEMPSEY

**BIAŁA RÓŻA,
CZARNY LAS**

**TŁUMACZENIE
JAKUB M. RAWINIS**

OŚWIĘCIM 2019

Mojemu synowi Robbiemu

OD AUTORA

Biała Róża, Czarny Las to historia inspirowana wydarzeniami autentycznymi. Niektóre fakty oraz chronologia zdarzeń zostały jednak zmienione dla potrzeb opowieści.



NIEMCY

Schwarzwald

• Titisee-Neustadt

• Sankt Peter

• Fryburg

NIEMCY

Schwarzwald

• Burchau

• Müllheim

• Breisach

• Schopfheim

• Wehr

• Bad Säckingen

Ren

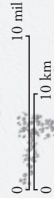
• Rheinfeiden

Inzlingen

• Bazylea

SZWAJCARIA

FRANCJA



ROZDZIAŁ 1

Schwarzwald, południowo-zachodnie Niemcy, grudzień 1943 r.

To chyba było odpowiednie miejsce, by umrzeć. Znała tu kiedyś każde pole i drzewo, każdą dolinę, tu skały nosiły imiona, tu miejsca spotkań opisywano w tajemnych językach, których dorosli nie rozumieli. Wartkie górskie strumienie lśniły tu w letnim słońcu jak wypolerowana stal. Tutaj czuła się bezpiecznie. Ale teraz nawet to miejsce wydawało się zatrute, zrujnowane, a całe jego piękno i czystość – zaduszone na śmierć.

Śnieg pokrywał ziemię grubą kołdrą, nie ustępując w żadnym kierunku, jak okiem sięgnąć. Kobieta zamknęła oczy, robiąc parę sekund przerwy. Nawiedzone wycie wiatru, szelest w gałęziach drzew uginających się pod ciężarem śniegu, jej przyspieszony oddech, bicie serca. W górze widniało nocne niebo. Ruszyła dalej, jej kroki znów zachrzęściły. Gdzie było najlepsze miejsce, żeby to zrobić? Kto by ją odnalazł? Myśl o tym, że kilkoro dzieci, bawiąc się w śniegu, natrafi na jej ciało, była nie do zniesienia. Może lepiej było zawrócić, odpuścić choć na jeden dzień? Łza pojawiła się w kąciku jej oka i spłynęła po odrętwiałej skórze twarzy. Kobieta szła dalej.

Padający śnieg zaczął gęstnieć, więc poprawiła szalik, zakrywając twarz. Może żywioły ją zabiorą. To byłby najlepszy koniec – powrót do natury, którą tak bardzo kochała. Dlaczego w ogóle nadal szła? Co miałyby jej dać taka wędrówka przez śniegi? Na pewno przyszedł już czas, żeby po prostu z tym skończyć, położyć kres cierpieniu. Sięgnęła do kieszeni i poczuła przez rękawiczkę dotyk gładkiego metalu – stary rewolwer ojca.

Nie, jeszcze nie. Wciąż szła przed siebie. Nigdy już nie zobaczy chaty. Nie zobaczy już zresztą niczego i nikogo. Nie dowie się, jakim wynikiem zakończy się wojna, nie będzie świadkiem upadku narodowych socjalistów, nie zobaczy, jak tamten szaleniec odpowiada przed sądem za swoje zbrodnie. Pomyślała o Hansie, jego pięknym obliczu, szczerym spojrzeniu i niewyobrażalnej odwadze w sercu. Nie miała nawet okazji ostatni raz go przytulić, wyznać, że to za jego sprawą uwierzyła, że na tym groteskowym świecie może jeszcze istnieć miłość. Ucięli mu głowę, wrzucili do trumny razem z ciałem i pochowali obok siostry i najlepszego przyjaciela.

Śnieg ciągle sypał, ale ona nie ustawała. Z lewej strony mijając leśne drzewa, wspinała się na szczyt wzgórza. Jej oczy już przywykły do ciemności i coś w oddali zwróciło jej uwagę – kopczyk w śniegu, oddalony o niecałe dwieście metrów. Ciało, jak sterta pomiętych szmat na nieskazitelnej bieli. Nie prowadziły do niego żadne ślady. Nie ruszało się, ale wciąż przypięty spadochron powiewał na wietrze, liżąc śnieg jak spragnione zwierzę. Kobieta rozejrzała się instynktownie, choć od wielu dni nie widziała żywej duszy. Ostrożnie podeszła bliżej, a zakorzeniona w niej paranoja kazała jej traktować każdy cień, każdy powiew jako śmiertelne zagrożenie. Ale nie było tam nic i nikogo.

Śnieg zbierał się na nieruchomym ciele mężczyzny, którego sporej części prawie nie było już widać spod warstwy bieli. Oczy miał zamknięte. Odgarnęła mu śnieg z twarzy i sprawdziła puls. Przez skórę szyi dało się poczuć bicie serca. Oddech buchał pomiędzy warg białymi jak lód kłębami, ale oczy nieznanego pozostawały zamknięte. Kobieta się cofnęła, rozpaczliwie wyglądając jakiejś pomocy. Była całkiem sama. Najbliższy dom należał do niej – była to chata odziedziczona po ojcu – ale dzieliły ją od niego prawie trzy kilometry. Do najbliższej wsi pozostawało co najmniej osiem. W takich warunkach to odległość nie do przejścia, nawet gdyby mężczyzna był przytomny. Odgarnąwszy

śnieg z jego piersi, odsłoniła mundur Luftwaffe z dystynkcjami kapitana. Jasne, że to był jeden z nich – tych potworów, które zniszczyły kraj i odebrały jej wszystko, co kochała. Kto by się dowiedział, gdyby pozwoliła mu tu umrzeć? Tak zwyczajnie by go tu zostawiła. Wkrótce oboje będą martwi i nikt się nigdy niczego nie dowie. Po prostu jeszcze dwa ciała w śniegu dołączą do całego nawału. Z mozołem cofnęła się o kilka kroków. Jej nogi przestały się poruszać, a zanim jeszcze sobie uświadomiła, że już podjęła decyzję, znów nachylała się nad nieznanym.

Poklepała go po policzku i zawołała. Podciągnęła mu powieki, ale jedyną reakcją było ciche stęknienie. Kapitan Luftwaffe opierał się o plecak, głowa zwisała mu odrzucona w tył, ręce były rozrzucone na boki. Był wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt, a ważyć mógł prawie dwa razy tyle co ona sama. Szpon niepokoju wbił się w nią, gdy pomyślała o niemożliwości zanieśienia go do chaty. Nie dało się. Mimo wszystko usiłowała go unieść, ale ledwo zdołała pokonać parę cali, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i poślizgnęła się, upuszczając mężczyznę z powrotem na śnieg. Jego plecak musiał ważyć co najmniej dwadzieścia kilo, a spadochron – jeszcze z pięć. Ten ostatni mógł na razie zostać, ale plecaka trzeba było się pozbyć. Po kilku sekundach prób i błędów odpięła paski i wyciągnęła plecak spod mężczyzny, przez co jego ciało z głuchym hukiem opadło na śnieg.

Odstawiła plecak na bok i spojrzała na niebo. Śnieg przybierał na sile. Nie zostało im wiele czasu. Znowu sprawdziła puls mężczyzny. Wciąż był silny, ale na jak długo? Impuls kazał jej wsunąć dłoń do kieszeni jego kurtki. Wyjęła dokumenty. Nazywał się Werner Graf, pochodził z Berlina, a w portfelu miał zdjęcie kobiety, pewnie żony, pozującej z dwiema uśmiechniętymi córeczkami w wieku na oko trzech i pięciu lat. Sam miał lat dwadzieścia dziewięć – był więc od niej trzy lata starszy. Z płuc kobiety buchnął głęboki oddech, gdy wstała, by przyjrzeć się Wernerowi Grafowi. Nauczyła się pomagać ludziom, na tym

polegała jej praca. Tym właśnie kiedyś była – i znowu mogła zostać, choćby tylko na kilka godzin. Z powrotem schowała dokumenty do kieszeni Grafa, zanim znów go obeszła. Wsunęła mu ręce pod pachy i dzwignęła, ze wszystkich sił wyęzając każdy mięsień. Od pasa w górę ranny się poruszył, ale nogi utknęły mu w śniegu i wydał z siebie głośny skowyt bólu, kiedy wyrwały się na wolność. Wciąż nie otworzył oczu. Położyła go na plecach i obeszła, by zbadać nogi. Spodnie miał podarte i Franka aż się wzdrygnęła, wyczuwając pod skórą nacisk połamanych kości. Obie nogi były złamane poniżej kolana. Być może kości strzałkowe, a na pewno piszczele. Po prawidłowym nastawieniu z cza-
sem się zrosną, ale na razie nie będzie mógł chodzić.

Być może lepiej by było pozwolić mu spokojnie odejść we śnie, umrzeć tu we śniegu. Podeszła do plecaka i otworzyła. W środku było kilka zmian odzieży i kolejne dokumenty, które odłożyła na bok. Na dnie znalazła zapałki, prowiant, wodę, śpiwór i dwa pistolety. Zastanawiała się, z jakiej racji pilot Luftwaffe miałby dzwigać takie rzeczy. Pistolety? Może miał skakać na tyłach nieprzyjaciela we Włoszech, ale to było setki kilometrów stąd. Czasu było niewiele. Marnowanie go na pytania mogłoby kosztować Wernera Grafa życie. Pomyślała o jego żonie i córkach, nieświadomych zbrodni, jakie być może popełnił w imieniu Rzeszy.

Sama nie miała przy sobie wiele – tylko nabity rewolwer. Nie spodziewała się, że tej nocy będzie potrzebować czegokolwiek więcej.

Powróciły wspomnienia śnieżnych zim młodości, czasu spędzanego na tym właśnie polu. Linia drzew, którą mijała, była oddalona tylko o kilkaset metrów, a dla Wernera Grafa odległość ta mogła oznaczać różnicę pomiędzy życiem a śmiercią. Gdyby tam wylądował, nigdy by go nie odnalazła – nawet zakładając, że przeżyłby takie lądowanie. Wyjęła z plecaka śpiwór, otworzyła i przykryła rannego, zanim nachyliła się ku jego twarzy.

– Mam nadzieję, że warto cię ratować – wyszeptala. – Robię to dla twojej żony i dzieci.

Pole, na którym się znajdowali, leżało na płaskowyżu, linia drzew prowadziła w dół stoku do doliny. Iglaki przykrywał śnieg, naniesiony do głębokości trzech metrów lub więcej. Dotarcie do drzew zajęło jej minutę albo dwie. Przykucnęła i zaczęła kopać w śniegu. Pył był miękki, więc robiła szybkie postępy. Nikt nie nadchodził. Śnieżna jama będzie ich jedyną szansą na przetrwanie nocy. Myśli o skończeniu ze sobą mogły poczekać, dopóki nie uratowała życia jemu.

Poszła rzucić okiem na mężczyznę. Nadal żył. W głębi jej duszy zamigotało nikle światełko, jak odległa świeca w ciemnej grocie. Wróciła do otworu, nie zastanawiając się, w jaki sposób sprowadzi tam rannego. Skupiała się tylko na kopaniu, jedna garść za drugą. Po dwudziestu minutach śnieżna jama była już wystarczająco duża. Franka spuściła się w dół, własnym ciałem wyrównując śnieg. Dłońmi ukształtowała półkę, a przyniesionym z zewnątrz długim patykiem wydłubała w sklepieniu otwór wentylacyjny.

Wróciła tam, gdzie leżał Werner, zabrała plecak i śpiwór, zaniosiła je do śnieżnego schronienia. Było dość długie, żeby mężczyzna mógł tam leżeć, przestrzeni wystarczająco wiele, by usiąść. Wystarczy. Poszła z powrotem do rannego. Musiało być już po północy. Względne bezpieczeństwo poranka wydawało się odległe o całe lata. Nie było sposobu, żeby przemieścić mężczyznę dalej niż jama, dopóki nie minie śnieżnica. Podniosła nylonową czaszę spadochronu, wciąż przytwierdzoną do pasków na ramionach rannego, i pociągnęła. Na twarz wypełził mu odrażający grymas bólu, gdy jego ciało ślizgało się po śniegu. Kobieta znów chwyciła spadochron, ciągnąc najmocniej, jak umiała. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ale przeciągnęła go jeszcze o dwa metry. Dało się. Zaiskrzyła w niej nadzieja, rozlewając po umęczonym ciele strumienie adrenaliny. Znów pociągnęła, i jeszcze raz. Zajęło jej to dwadzieścia minut. Pod grubym szalem i płaszczem była mokra od potu, ale zdołali dotrzeć do skraju jamy.

Wtedy nawiedziło ją coś w rodzaju poczucia triumfu, pierwszy raz od czasu tak długiego, że zdawał się całym życiem. Może od czasu pierwszych ulotek Białej Róży, kiedy ogarnęła ich wszystkich ekscytacja płynąca ze stanięcia po właściwej stronie, gdy po raz pierwszy od pokolenia wizja lepszej przyszłości dla narodu niemieckiego zdawała się prawie realna.

Werner Graf wciąż był nieprzytomny. Nic nie mogło go obudzić. Nie tej nocy. Cel – sprawić, by znów otworzył oczy – pchał kobietę naprzód. Nie liczyło się już, kim on był, a tylko, że był człowiekiem, jeszcze żywym. Odpoczęła parę sekund, po czym po zbudowanej przez siebie pochylni zepchnęła go do jamy. Znowu zajęczał. Gdy pchała go w dół, kości jego nog wydały obrzydliwy trzask.

Śnieg nadal sypał z ciemnego nieba, wiatr wył jak wygłodniały wilk. Jama rozświetliła się, gdy kobieta roznieciła zapalną, wyjętą z plecaka rannego. Wcześniej niezbyt dokładnie mu się przyglądała. Był wtedy tylko sponiewieranym ciałem, nie zaś mężczyzną. Przystojny, nieogolony, z krótkimi brązowymi włosami. Zgasła zapalną i sięgnęła, by owinąć rannego śpiwo-rem. Położyła się obok, słyszała dźwięk jego płytkich oddechów, a w piersi głucho dudnienie serca. Potrzebowali nawzajem ciepła swoich ciał, by przetrwać noc. Otoczyła nieznanego ramieniem. Nie dotykała w ten sposób żadnego mężczyzny od śmierci Hansa przed dziesięcioma miesiącami. Wyczerpanie wzięło nad nią górę i zapadła w głęboki sen.

Krzyk nią wstrząsnął, wyrwał ze schronienia dawanego przez sen. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, gdzie jest i co się dzieje. Mrok jamy tłumił jej zmysły, aż spojrzała w górę, ku otworowi nad głową rannego. Teraz widać było światło księżyca. Głowa mężczyzny przewróciła się na bok. Ciało wciąż miało ciepłe. Coś mu się śniło. Kobieta usadowiła się znów obok niego, wykorzystując jego ramię jako poduszkę. Oczy właśnie jej się zamykały, gdy mężczyzna znów wrzasnął:

– Nie, proszę, nie! Proszę, przestań!
Krew zastygła jej w żyłach. Mężczyzna bez wątpienia krzy-
czał po angielsku.

ROZDZIAŁ 2

Leżała bez ruchu, sparaliżowana szokiem. Z ust mężczyzny nie wydobyły się już żadne inne słowa, oczy miał wciąż zaciśnięte. Nadal panowała noc. Kobieta dalej leżała obok rannego, kimkolwiek był. Jego pierś unosiła się w rytm oddechu, teraz już wyraźniejszego. Już go uratowała, ale co go mogło czekać? Próbowała przekonywać sama siebie, że naprawdę był on Wernerem Grafem. Niby jakim cudem? Który oficer Luftwaffe krzyczałby przez sen po angielsku? W żadnym razie nie znała biegle tego języka, ale znała gładki rytm angielskich wyrazów, nietrudno było je rozpoznać. Co to za człowiek i co by się z nim stało, gdyby przekazała go policji? Oznaczałoby to wydanie go w ręce Gestapo. Miał na sobie mundur Luftwaffe. Jeśli był Brytyjczykiem lub Amerykaninem, nie ulegało wątpliwości, że zostałby potraktowany jako szpieg i rozstrzelany. Woląaby umrzeć niż przyłożyć rękę do gestapowskich rządów terroru. A więc co powinna zrobić?

Podniosła się z jego ciała i niepewnie wypęzła ze śnieżnej jamy. Lodowate powietrze kąsało jej odsłoniętą twarz i wydawało się niemal płynne, gdy je wciągała do płuc. Śnieg przestał padać. Chmury, uprzątnięte jak zabrudzony obrus, odsłoniły gwiazdy płonące na atramentowej czerni nieba. Wiatr złagodniał do delikatnego łaskotania na gałęziach drzew. Wszystko inne pozostawało nieruchome. Co by się stało, gdyby go została? Czy w ogóle wybudziłby się ze snu? Czy po odzyskaniu przytomności zdołałby choćby wydostać się z jamy? Pole, przez które go przywlekła, było już wygładzone, piękne. Każdy mógłby przejść obok kryjówki i nawet się nie zorientować, że tam

siedzieli. Ale nadchodził poranek. Byli tu odizolowani. W tym miejscu rzadko spotykało się ludzi, ale nie było to niemożliwością. Kobieta szacowała, że zostały jej co najmniej trzy godziny, zanim niskie zimowe słońce wypełnie nad horyzont, by oświetlić las – tylko trzy godziny, nim ktoś zdoła ich dostrzec. Może się na nich, brnących z wysiłkiem przez śniegi, natknąć narciarz biegowy, a wtedy nie będzie już do niej należeć moc decydowania o czymkolwiek. Nieznajomy wpadnie w ręce gestapowców przy jedynomyślności obcych. Zawsze łatwiej było stanąć po stronie Gestapo – za to obywatel dostałby nagrodę, a za sprzeciw zostałby wtrącony do więzienia. Nadprzyrodzonej siły wymagało niewykonanie ich poleceń. Na tym polegał geniusz nazistowskiego systemu: postępowanie w sposób przyzwoity wymagało wprost niewyobrażalnego męstwa. Niedoniesienie na własnych sąsiadów było równie niebezpieczne jak działalność aspołeczna, którą tak bardzo interesowało się Gestapo. Znaczyło to, że wszędzie mieli szpiegów. Znaczyło, że „niemieckie spojrzenie” – szybki, ukradkowy rzut oka, by się upewnić, że nikt nie patrzy – stanowiło obecnie część codziennego życia.

Do kobiety powróciło widmo wcześniejszych zamiarów. Spodziewała się, że nazajutrz odnajdą jej ciało, tego właśnie chciała. Mogłaby się zapuścić w głąb lasu, gdzie nikt by na nią nie natrafił przez wiele miesięcy, aż ciało odpadłoby od kości, przyszłym znalazcom pozostawiając jedynie biały szkielet. Teraz chyba nie miała innego wyjścia niż porzucić te plany, a zamiast tego pomóc mężczyźnie. Pozostawienie go w jamie oznaczałoby dla niego śmierć. Wydanie go władzom – tak samo. W dodatku musiałyby żyć ze świadomością, że przyłożyła rękę do wprowadzania w życie wypaczonej woli Gestapo i reżimu, któremu służyło. Jeśli zaczeka do świtu, może spotkać kogoś, kto wymusi na niej jakieś działanie, a wtedy ranny umrze, a ona zapewne razem z nim. Wydawało się, że w ogóle nie istniał żaden wybór.

Śnieg zasypał ślady, które pozostawiła, docierając w to miejsce, ale te wzgórza i łąki, zaśnieżone czy nie, były jej znajome. Ruszyła w drogę powrotną do chaty. Zajmie jej to ponad godzinę, tyle samo powrót do rannego. Szpieg czy zbiegły jeniec? Ale jeżeli jeniec, to czemu miałby skakać z samolotu nad terytorium Rzeszy? Może jego maszynę zestrzelili albo zdarzyła się jakaś awaria, zmuszając go do ewakuacji. Bo inaczej skąd miałby się tu wziąć, w samym środku gór? Fryburg leżał tylko około piętnastu kilometrów stąd. Może zwiąło go z kursu. Ale przecież idąc w tę stronę, nie słyszała samolotu ani nie widziała na niebie ognia artylerii przeciwlotniczej. Naloty bombowe stawały się coraz częstsze, nawet tutaj. Myśli o spadających bombach przyniosły ze sobą wspomnienie o ojcu. Zaraz potem wrócił ten sam ból, który wygnał kobietę w to miejsce, z jego rewolwerem w kieszeni, lecz pamięć o nieznanym w śnieżnej jamie kazała jej wrócić myślami do teraźniejszości i stawiać jedną stopę przed drugą.

Zeszła w dół wzgórza, na którym znalazła mężczyznę, tą samą drogą, którą przyszła. Już wkrótce nie widziała ani jamy, ani drzewa, pod którym ją wykopała.

– Spróbuj nie martwić się rzeczami, na które nie masz wpływu – powiedziała na głos.

Dobrze było słyszeć własne myśli, czuła się prawie tak, jakby ktoś jeszcze z nią tu był i nie zabierała się samotnie do ratowania życia rannego.

– Co ty wyprawiasz? – powiedziała. – Dlaczego zadajesz się z nieznanym mężczyzną? – Słowa te brzmiały, jakby wypowiedział je ktoś inny.

Była już bliska wyczerpania, gdy chata pojawiła się w polu widzenia. Drzwi nie były zamknięte na klucz, otworzyła je pchnięciem. Nie spodziewała się, że jeszcze tu wróci, ale pozostawiła dom w stanie nieskazitelnej czystości – w prezencie dla tych, którzy go znajdują. Wchodząc, zdjęła rakiety śnieżne i zostawiła przy drzwiach. Ściągnęła rękawiczki, po czym zaczęła zmagać

się niezdarnie z zapawkami na pobliskim stoliku. Pokój zajaśniał od zapalanej przez nią świecy i przelotnie dostrzegła siebie w lustrze, nim oderwała spojrzenie. Nie miała ochoty patrzeć w twarz własnemu odbiciu. W kominku leżały wygasłe węgle ostatniej nocy. Drewno było za domem. To będzie do zrobienia później. Przeszła przez korytarz do części mieszkalnej i znalazła butelkę brandy, którą wepchnęła do kieszeni płaszcza. Złapała się oburącz za głowę, szukając w zakamarkach umysłu innych rzeczy, które mogłyby się jej przydać, gdy będzie tu wracała z rannym. Już samotna wędrownica była dość męcząca. Zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle możliwe. Miała ochotę usiąść i zamknąć oczy, żeby choć na chwilę odpocząć.

Nalała sobie filiżankę wody i wychyliła w parę sekund. Odłożyła naczynie, włożyła do kieszeni kuchenny nóż. Drzwi do sypialni, w której spała ostatniej nocy, były uchylone, łóżko nieposłane, pościel złożona w schludną stertę u jego końca. Łóżko było niewyobrażalnym luksusem, w tej chwili nie pragnęła nic więcej. Ale wiedziała, co oznaczałby jej odpoczynek dla mężczyzny w śniegu. Zamknęła drzwi sypialni, wyszła tylnym wejściem i znów zapuściła się w noc. Drwa zebrane w poprzednim tygodniu leżały nietknięte, obsypane lekką powłoką śniegu, którą wiatr naniósł pod zadaszenie na opał. Dostrzegła sanie, na których przyciągnęła drewno z lasu. Były solidne, z pewnością udźwignęłyby ciężar mężczyzny. Przeciągnęła je wzdłuż bocznej ściany domu, po czym wróciła do środka.

Na ścianie zegar z kukułką wybił piątą rano. Wynurzyła się zeń pięciocentymetrowa figurka mężczyzny i pięć razy uderzyła młotkiem w dzwonek. Fredi, jej brat, uwielbiał ten zegar. Tylko przez wzgląd na radość, jaką sprawiało mu to głupie urządzenie, jeszcze go nie rozwaliła. Wszystko, co on kochał, wszystko, czego kiedykolwiek dotknął, było dziś na wagę złota.

– Fredi – odezwała się, gdy człowieczek zniknął w środku zegara. – Widzisz, co robię, prawda? Potrzebuję twojej pomocy. Muszę cię czuć przy sobie. Bez ciebie nie dam rady.

Od miesięcy nie wymawiała na głos jego imienia, nie pozwalała sobie na to. To było dla niej za wiele. Najlepiej było zapomnieć – puścić przeszłość w niepamięć, by lepiej radzić sobie z cierpieniem. Ale teraz go potrzebowała, musiała znów poczuć miłość. Próbowwała przypomnieć sobie uczucie miłości, usiłowała wydobyć ją z głębi siebie, tak jak czerpie się drogocenną wodę z pustynnej studni. Zaciśnęła dłoń w pięść, wzięła głęboki oddech i otworzyła frontowe drzwi.

Wiatr ucichł. Powietrze było spokojne jak sama śmierć. Kobieta złapała za sznurek przytwierdzony do przedniej części sań i ruszyła przez śniegi. Ślady jej stóp były wciąż widoczne i do następnego opadu miały takie pozostać. Każdy mógłby pójść jej śladem. Koc mroku skryje ją i rannego jeszcze przez kilka godzin, ale potem staną się widoczni dla każdego porannego spacerowicza. Jakie wtedy znajdzie wytłumaczenie dla ciągnięcia na saniach po śniegu wyczerpanego lotnika Luftwaffe? Pomyśli o kłamstwach, gdy będzie ich potrzebować. Na razie liczyło się tylko stawianie nogi za nogą.

Lęk, że zostanie mężczyznę martwego, nękał ją przez całą drogę powrotną. A co, jeżeli Gestapo było na jego tropie? Co, jeśli widzieli jego spadochron, ale śnieżycy nie pozwoliła im go aresztować? W takiej sytuacji teraz na pewno zmierzaliby już na pole. Powróciły do niej okrutne wspomnienia: przesłuchania, cele więzienne, zimne, szare oczy przesłuchującego ją gestapowca. Ulga przyszła dopiero wtedy, gdy kobieta zobaczyła pole. Nagłący problem uniknięcia rozpoznania zagłuszał jej myśli.

Pole było równie puste, jak wtedy, gdy je opuściła. Nadstawiła uszu. Żadnego dźwięku. Cisza nocy była wymowna. Drzewa stały nieruchomo, śnieg leżał gęsty i ciężki. Odczekała dwie minuty, aż dotarło do niej, że traci czas. Nikt nie widział rannego, ale zobaczy, jeśli ona nie zacznie szybko działać. Wyjrzała zza drzewa, za którym się kryła, i ruszyła przez pole ku śnieżnej jamie. Spozstrzegłszy, że wejście było już wąskie tylko na kilkana-

ście centymetrów, uklękła i je poszerzyła. Mężczyzna wciąż leżał na śpiworze, który wyjęła z jego plecaka, pierś wciąż unosiła się od oddechu. Nadal był nieprzytomny.

– Hej! – powiedziała. – Nie śpi pan? Słyszysz mnie pan?

Jej głos zdawał się odbijać echem w pustce nocy. Mężczyzna się nie poruszył. Sięgnęła w dół i szturchnęła go w ramię – wciąż bezskutecznie. Słońce niedługo wszędzie. Trzeba to zrobić natychmiast. Chwyciła nylonowe linki spadochronu i pociągnęła, aż napięły się pod ciężarem rannego, wbiła stopy w śnieg i z wysiłkiem pociągnęła. Stopniowo ciało mężczyzny zaczęło sunąć w górę pochylni, wypełzając ze śnieżnej jamy. Kobieta runęła obok, ciężko chwytając powietrze, serce jej waliło. Ranny był na zewnątrz. Pozostało tylko wciągnąć go na sanie i przeciągnąć trzy kilometry do chaty. To wszystko.

Leżała na śniegu, wpatrzona w błyskające gwiazdy. Wyczerpanie dawało o sobie znać – pragnienie snu było przytłaczające. Nie byłoby nic wspanialszego niż mu się poddać, zamykając oczy. Ciało miała obolałe, barki i ramiona wciąż ją paliły po wyciągnięciu mężczyzny z jamy. Ale musiała próbować dalej. Zatrzymanie się w tym momencie oznaczało klęskę. Nie mogła na to pozwolić. Sanie były długie na metr dwadzieścia, mężczyzna – na prawie dwa metry. Gdyby nie złamane nogi, ciągnęłaby go za sobą, pozwalając, by kończyny wlekły mu się po śniegu. Nie mogła przecież pozwolić, aby to głowa zwisała poza krawędź sań, nieprawdaż? Ustawiła sanie równolegle do jego ciała. To była dla niego jedyna szansa. Skoro nogi muszą się wlec, niech już tak będzie. Może istniał sposób, żeby złagodzić jego cierpienia.

Plecak wciąż leżał w śnieżnej jamie, kobieta weszła do środka, by go wyciągnąć. Lina, którą wcześniej widziała, spoczywała zwinięta na dnie. Wyciągnęła ją. Była za długa, ale kobieta przyniosła z domu nóż. Ucięła sześć kawałków po około pół metra każdy. Miało to zająć kilka minut, więc wyjęła z kieszeni brandy, po czym sięgnęła w dół, by otworzyć rannemu usta i wlać do

nich alkohol. Najpierw wypluł z parsknięciem, ale potem uniosła jego głowę i z zadowoleniem stwierdziła, że przynajmniej trochę przelknął. Sama też się napiła, czując, jak ciepło promieniuje w dół aż do żołądka.

Dwie czy trzy minuty zajęło jej znalezienie kilku solidnych gałęzi o grubości około dziesięciu centymetrów. Rzuciła je na ziemię obok lotnika, przygotowując najtrudniejszą część roboty. Zdjęła rękawice. Zimno atakowało jej dłonie, ale nie zwracała uwagi na ból, skupiając się na tym, co było do zrobienia.

Położyła dłoń na lewej kostce mężczyzny, a drugą wsunęła do nogawki, obmacując kość. Złamanie znajdowało się kilkanaście centymetrów poniżej kolana. Najlepiej byłoby nastawić kość od razu po znalezieniu rannego, jednak wtedy miała pilniejsze sprawy do załatwienia. Mężczyzna skrzywił się pod jej dotykiem, ale kontynuowała, nastawiając mu kość pod skórą. Powolnym, lecz mocnym ruchem pociągnęła dolną część goleni. Kość wróciła na swoje miejsce, a kobieta wzięła dwie gałęzie i za pomocą kawałków liny przywiązała je po bokach nogi. Kończyna była nastawiona i unieruchomiona, przynajmniej dopóki lina trzymała. Kobieta znów sprawdziła sznury. Były ciasno zaciśnięte. W tych warunkach nie mogła oczekiwać lepszego efektu. Teraz musiała powtórzyć to samo z prawą nogą. Znów sięgnęła pod nogawkę, po omacku szukając kości. Tym razem złamanie здавало się mniej poważne. Nastawiła kość i przywiązała gałęzie po obu stronach nogi.

Przez kilka sekund stała w bezruchu.

– Kim jesteś? – wyszeptała.

Czekała chwilę, jakby mężczyzna miał usiąść i odpowiedzieć. Ale z jego ust nie dobywał się żaden dźwięk, tylko wiatr jęczał, znów zaczynając wirować wokół nich obojga. Było najpewniej przed siódmą, nie mieli czasu do stracenia. Zarzuciła na grzbiet plecak rannego i wyswobodziła go ze spadochronu – ten spełnił już swoje zadanie. Samego spadochronu zostawić nie mo-

gła: mógłby zaczepić o ziemię, był ciężki, ludzi rozstrzelowano za łżejsze przewinienia. Nawet jeśli nieznanego nie szukało Gestapo, to znalezienie w tym miejscu spadochronu mogłoby wzbudzić w kimś pytania, które doprowadziłyby go do ranne-go. Kobieta mogła zaryzykować zabranie czaszy ze sobą. Gdyby dali się złapać, to i tak nie wykręciłaby się żadnym wyjaśnie-niem, ze spadochronem czy bez. Zwinęła go najlepiej, jak umia-ła, zmieniając w poręczny nylonowy tobołek, który położyła na rannym. Podniosła resztę liny – około sześciu metrów – i owinę-ła wokół sań, przywiązując do nich mężczyznę, a do jego piersi spadochron. Mocno zacisnęła linę, pozostawiając jednak ranne-mu dość przestrzeni, by mógł oddychać. Byli już gotowi.

Chwyciła powróż z przodu sań i pociągnęła. Zaczęły sunąć po gładkiej powierzchni śniegu i oboje ruszyli w drogę. Pierwsze kilkaset metrów było stosunkowo łatwe, przemierzali zaśnieżo-ną łąkę, ale najkrótsza droga do domu wiązała się z pokonaniem kawałka lasu i zamrożonego strumienia. To nie było możliwe, gdy ciągnęła mężczyznę za sobą. Musiała trzymać się szlaku, co zwiększało ryzyko spotkania kogoś. Zastanawiała się, kto by to mógł być, i dumiała o braku zaufania, jaki powstał wśród Niem-ców za sprawą nazistów. Rewolwer znów ciążył jej w kieszeni. Zapomniała wyciągnąć go z płaszcza.

Na każdy łatwy zjazd przypadała kolejna wędrownka pod górę, a na samym końcu tej wyprawy czekała ją stroma wspinaczka do chaty. Wtedy akurat będzie najslabsza. Podążała przed sie-bie, choć mięśnie zaczynały ją zawodzić. Czuła, jak uchodziły z niej siły. Jej oddechy stawały się coraz głębsze i wyraźniejsze. Na odsłoniętej skórze zaczął zamarzać pot. Wiedziała, jakie to niebezpieczne, że może prowadzić do odmrożeń, ale nie ustawa-ła. Nie można było się zatrzymać. Brnęła dalej, gdy słońce wyj-rzało znad horyzontu. W jego nadejściu nie było radości, brzask nie przynosił ulgi. Do chaty zostało jej półtora kilometra, a pele-ryna nocy rozwiewała się z sekundy na sekundę.

Z przodu dobiegł ją odgłos kroków. Z początku trudno było się zorientować, skąd dochodził. Z galopującym tętnem stanęła w bezruchu. Uszy miała dostrojone do ciszy, więc mogła wyraźnie rozróżnić szelest kroków zbliżających się tym szlakiem. Obejrzała się na mężczyznę na saniach. Trudno było stwierdzić, ile czasu im zostało, ale wątpiła, żeby więcej niż minuta. Przed sobą mieli zakręt, co oznaczało, że gdy zobaczy nadchodzącego człowieka, będzie już za późno. Ściągnęła sanie z drogi poza linię drzew. Ukryła rannego najlepiej, jak umiała, przykrywając paroma luźnymi gałęziami. Ślady pozostawione na samej ścieżce wciąż pozostawały widoczne. Każdy by zobaczył, w którym miejscu się kończą. Przycisnęła dłoń do ust, by stłumić szmer własnego oddechu.

Minuta wlokła się w nieskończoność, kroki stawały się coraz głośniejsze. W polu widzenia pojawiła się sylwetka. Kobieta ją rozpoznała i pokręciła głową, prawie wybuchając śmiechem. To był pan Berkel, ojciec jej byłego chłopaka. Nie miała cienia wątpliwości, że on by na nią doniósł. Daniel służył w Gestapo. Nic nie sprawiłoby panu Berkelowi większej przyjemności. Znajdował się już o jakieś dwadzieścia metrów, przechadzał się szlakiem z laską w ręku. Całe lata minęły, od kiedy z nim rozmawiała – wtedy jeszcze z Danielem byli parą. Był gburem pozabawionym cienia wdzięku czy subtelności. Mieszkał niedaleko. Poranne spacerowanie miał najwyraźniej w zwyczaju.

Był to zażywny mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce. Dłoń kobiety sięgnęła do rewolweru w kieszeni. Co była gotowa uczynić, by chronić człowieka, którego spotkała ledwie przed paroma godzinami i z którym nawet nigdy nie rozmawiała? Najpewniej nie znała nawet jego prawdziwego nazwiska. Widok pana Berkela przypomniał jej jasno wizje zła, które pochłonęło jej ojczyznę. Zwróciła wzrok ku mężczyźnie na saniach i poczuła każdy

okruch nadziei, jaki w niej został. Nieznajomy już uratował jej życie, tak jak ona ocalała jego.

Berkel przystanął na ścieżce o jakieś sześć metrów od ich kryjówki. Odchylił się, rozprostowując krzyż, po czym wyjął z kieszeni papierosa. Włożył go do ust, potarł zapałkę i zaciągnął się dymem. Z miejsca, w którym siedziała, kobieta prawie różniła rysy jego twarzy. Oczy jakby mu się skupiały, wreszcie ruszył z miejsca, choć teraz już szedł wolniej, wpatrzony w drogę. Rozglądał się w prawo i w lewo, kilka metrów od miejsca, gdzie się kryli. Zatrzymał się, a wtedy serce kobiety też prawie stanęło. Palec trzymała na spuście. Czuła gotowość. Była gotowa wyciągnąć broń na człowieka, którego znała przez większość życia, by bronić mężczyznę poznanego zaledwie przed paroma godzinami. Gdzie ukryłaby ciało? Musiała zadbać, żeby nie było takiej potrzeby. Pan Berkel pokręcił głową i ruszył przed siebie. Minawszy ich kryjówkę, szedł dalej, najwyraźniej nieświadom ich obecności.

Odczekała pięć minut, zanim wystawiła głowę w kierunku drogi. Łzy stanęły jej w oczach, gdy owładnęło ją napięcie. Chwyliła powróż sań i z wysiłkiem zmusiła obolałe dłonie, by wyciągnęły mężczyznę z powrotem na szlak. Słońce jasno świeciło na rześkim, błękitnym niebie, oświetlając piękno, jakie stworzyły śniegi poprzedniej nocy. Warstwa bieli była dziewicza, nie licząc śladu pozostawionego przez Berkela. Kobieta znów zaczęła ciągnąć rannego przed siebie, a jej myśli ponownie skupiły się na sprowadzeniu go żywcem do chaty.

Tego ranka nie było już innych spacerowiczów. Przestała trzymać dłoń na rewolwerze w kieszeni i użyła jej do ciągnięcia sań. Z jej umysłu zniknęły wszelkie myśli, jedyną rzeczą, którą była w stanie sobie wyobrażać, stał się powrót do chaty. Nic innego w tej chwili się nie liczyło. To był jedyny sens istnienia świata. Jeden bolesny krok następował za drugim, aż w polu widzenia pojawiło się ostatnie wzgórze. Kobieta nie zaznała innego

odpoczynku niż ten wymuszony nadejściem pana Berkela, ale teraz przysiadła, odzyskując oddech przed ostatecznym wysiłkiem. Przebyła już daleką drogę. Teraz pozostało już tylko jedno wzgórze, a na jego szczycie dom krył w sobie obietnicę jedzenia, wody, proszków przeciwbólowych i, co najważniejsze, snu.

Przyjrzała się rannemu.

– Jesteśmy prawie w domu. Jeszcze tylko kawałek.

Mięśnie nóg prawie odmówiły jej posłuszeństwa, ale przewyciężyła ból i słabość. Wstała, wysoka i wyprostowana, chwytając powróż przytroczony do sań. Ciągnęła, wyteżala się i pociła, aż wreszcie dotarła do domu.

Z trudem łapiąc oddech, dotknęła drzwi frontowych i otworzyła je pchnięciem. Wciągnęła sanie do środka, pozostawiając za sobą ślad śniegu i błota, który będzie musiała później posprzątać.

Ranny był tu, wewnątrz chaty. Wydawało jej się, że to cud. Zaciągnęła go do salonu i pozostawiła na wprost popiołów minionej nocy. Drewna było akurat tyle, żeby znowu napalić – poświęciła na to kilka minut. Kapelusz i płaszcz wydawały się jak druga skóra, wyłuskała się z nich. Poszła do kuchni, gdzie przełknęła kilka filiżanek wody, zanim wróciła do mężczyzny. Przytknęła filiżankę do jego warg, kapiąc wodą do ust. Udało mu się trochę przełknąć. Był brudnym, śmierdzącym straszylem i miał połamane nogi, ale żył i tyle na razie wystarczyło. Zostawiła go tak przed paleniskiem, nieprzytomnego, lecz bezpiecznego. Poszła do sypialni, ściągnęła ubranie i zasnęła natychmiast, gdy tylko jej twarz dotknęła poduszki.

ROZDZIAŁ 3

Tykanie zegara. Melodyjka kurantu. Zamrugał, otwierając oczy, po czym stwierdził, że leży w kałuży obrzydliwego potu, przywiązany do kawałka drewna. Pomiedzy uszami miał buzującą mgłę i kilka sekund zajęło mu przypomnienie sobie, gdzie jest, a zwłaszcza, dlaczego. Cierpienie w nogach promieniowało na wskroś tułowia. Umiał znosić ból, ale wszystko ma swoje granice. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ucieczki. Dogasające popioły żarzyły się czerwienią w oddalonym o parę metrów palenisku. Był sam. Pojmali go? Nie będzie mógł oczekiwać litości. Gdzie więc byli? Przez chmury jego świadomości przebiły się wspomnienia rodziny. Ojciec, matka, żona – teraz już była. Mgliste wspomnienie rozwodu też przez parę sekund było dla niego nowe. Potem w głowie pojawił mu się list, który do niego napisała, i znowu tam był, unosząc się nad pryczą podczas szkolenia podstawowego, widział sam siebie w trakcie czytania listu. Przelotne obrazy dawnego życia pojawiały się, a potem zapadały w otchłań. Próbował sobie przypomnieć coś z teraźniejszości, choćby miejsce, w którym się znajdował. Dotyk dłoni na jego ciele, poczucie bycia włączonym – wszystko to powracało do niego raczej jako esencja niż konkretne wspomnienie, którego mógłby się uchwycić. Jakby był w stanie poczuć chwilę – może nawet zwęszyć jej zapach i dotknąć – ale wyobrażenie jej sobie przekraczało jego możliwości. Próbował wstać z drewnianej platformy, na której leżał, czymkolwiek była, ale jego wysiłki na nic się nie zdały, bo padł na nią z powrotem. Powieki zdawały się ważyć tysiąc ton. Czasu starczyło mu zaledwie na rozejrzenie się po pokoju, zanim opadły i raz jeszcze poddał się łasce snu.

Światło dnia zdążyło zgasnąć, zanim wczesnym wieczorem kobieta się obudziła. Usiadła na łóżku. Zaburczało jej w pustym brzuchu. Mięśnie rąk, ramion i pleców były sztywne jak żółwia skorupa. Wsunęła palce w bruzdy na barkach, gdzie twarde mięśnie stykały się z kośćmi i ścięgnami, starając się jak najskuteczniej przegnać ból masażem. Drzwi do salonu były uchylone na kilkanaście centymetrów. Wyjrzała na leżącego tam bez czucia mężczyznę. Siedziała cicho, nasłuchując dźwięków, których nie było. Jedyne, co się poruszało, to wiatr w drzewach na dworze. Wygramoliła się z pościeli i stanęła przy łóżku, prawie mimo woli. Podeszła do szafy i wślizgnęła się w prostą szarą sukienkę. Zimna podłoga mroziła jej stopy, więc włożyła grube wełniane skarpety, a potem kapcie.

Powoli wysunęła się z sypialni, obca we własnym domu. Najpierw zobaczyła jego nogi, unieruchomione z obu stron wykonanymi przez nią łubkami. Ranny się nie ruszał. Oczy miał wciąż zamknięte.

– Proszę pana – wyszeptała. – Nie śpi pan?

Nic.

Wzięła głęboki wdech, próbując uspokoić tętno. Pot zbierał się jej na dłoniach. Krótkie, brązowe włosy mężczyzny były zlepione błotem i wciąż mokre od śniegu. Nieogoloną twarz miał podrapaną i pokrytą brudem. Chyba się nie poruszył. Sięgnęła, by sprawdzić puls. Jego serce biło spokojnie i równo. Będzie żył. Poszła do kuchni, wróciła z kubkiem wody i nakapała mu nieco między wargi. Znowu zdawało się, że trochę przełknął, choć zaniosł się kaszlem i resztę wypluł, parszkając.

Uklękła obok, sięgnęła pod sanie, by odwiązać przytrzymującą go linę. Pomyślała o jej przecięciu, ale się rozmyśliła. Może jej jeszcze potrzebować, gdyby ranny okazał się nieskłonny do współpracy. Sznur spadł pod sanie, kobieta odsunęła spadochron. Sięgnę-

ła po mocujące go paski na ramionach, zsunęła je bez większego trudu. Pozostawał jednak problem, co zrobić ze spadochronem. Ukrycie go stanowiłoby działalność wywrotową, przez którą oby-watel mógłby skończyć w więzieniu albo jeszcze gorzej. Przy spa-leniu powstałyby toksyczne opary. Na razie rzuciła spadochron na stertę opodal tylnych drzwi.

Mężczyzna musiał leżeć w łóżku. Sanie, choć pozostawiły za sobą błotnisty ślad, gdy przedtem wciągała je do domu, wciąż pozostawały najlepszą metodą przemieszczania rannego. Kobie-ta ukłękła i obróciła sanie, kierując je ku zapasowemu pokojowi, gdzie w dzieciństwie razem z Fredim spędzali letnie noce. Od lat stał on pusty. Mężczyzna leżał bez ruchu, gdy pchała sanie do sy-pialni. Drzwi były już otwarte, łóżko posłane, a pokój nieskazi-telnie czysty. Próbowwała sobie przypomnieć, kto tu ostatnio spał. Pewnie ona sama, a może nawet Fredi. Przypominała sobie, jak ojciec zabierał tam Frediego, ale to było wiele lat przed wojną – za-nim jeszcze Fredi stał się dla ojca zbyt wielkim ciężarem, by mógł samodzielnie się nim opiekować. Zanim ich porzuciła. Odsunęła od siebie wspomnienia, tak jak ściera się brud z przedniej szyby samochodu, i postarała się skupić na najpilniejszych problemach. Wróciła do salonu po plecak nieznanomego. Czyste cywilne ubra-nia leżały zwinięte na dnie, ale nie było niczego, w czym mógłby spać, a ona z pewnością nie zamierzała trzymać go tu w bieliźnie. Niektóre ze starych ubrań ojca powinny na niego pasować. W cią-gu kilku minut znalazła starą piżamę i szlafrok w kolorze wina. Wróciła i rzuciła piżamę na łóżko, ale szlafrok trzymała przez kilka sekund, czując pod palcami gładkość materiału. Przeszłość była tu wszechobecna. Nie dało się od niej uciec.

Mężczyzna był brudny i oblepiony. Przede wszystkim po-trzebował kąpieli, a z tym było łatwiej, póki pozostawał nie-przytomny. Sięgnęła w dół i przesunęła palcami po prymityw-nych łubkach, które wykonała, by trzymały jego kości razem. Trzeba będzie je wymienić. Zabranie mężczyzny do szpitala

czy nawet lekarza nie wydawało się warte ryzyka. Nie mogła ufać nikomu.

A jemu? Słyszała już radiowe doniesienia o aliantach, ale była wystarczająco rozzębiona, by nie ufać nazistowskim wyobrażeniom Amerykanów jako prostackich mieszańców, a Brytyjczyków jako zdradzieckich łajdaków. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie spotkała alianckiego żołnierza. Z biegiem lat niezliczone kroniki filmowe i artykuły utrwaliły jej w głowie nazistowską wizję aliantów. Nie mogła zlekceważyć wszystkiego, co dotąd widziała i słyszała, nawet przy całej swej nieufności wobec władzy i kontrolowanych przez nią mediów. Widziała, co alianci zrobili Niemcom. Bezlitośnie bombardowali miasta pełne ludzi. Trudno było widzieć w nich zbawców, niezależnie, jak bardzo tego pragnęła.

Wargi mu drgały, oczy pod zamkniętymi powiekami pełzały jak ślimaki. Kobieta cofnęła się przerażona, spodziewając się, że zaraz je otworzy. Nawet się dotąd nie zastanowiła, co ma powiedzieć albo zrobić, gdy ranny się obudzi. Na szczęście jego twarz wróciła do poprzedniego stanu katatonii, a więc dylemat można było odłożyć na później.

Franka weszła do kuchni. Dom był zimny. Herr Graf, czy kim on tam był, mógł poczekać, aż rozpali ogień. Wygarnęła z popielnika nieco popiołu, odsunęła zwęglone polana pogrzebaczem, który był w tym domu, zanim jeszcze ona się urodziła. Zapaliła zapalną, a kuchnię oświetlił odbłask płomienia. Rozpalanie ognia zawsze sprawiało jej wielką przyjemność, więc cofnęła się, patrząc, jak polana zajmują się od podłożonej pod nimi podpałki. Zadowolona, poszła do kredensu. Niewiele tam było jedzenia, najwyżej parę starych puszek zupy. Prowiant, który przywiozła, już się skończył. Drogi do miasta będą odcięte przez kilka dni – jej samochód na nic się nie przyda. Podeszła do apteczki, gdzie znalazła starą buteleczkę aspiryny, zawierającą dziewięć tabletek. Tyle wystarczy, żeby utrzymać rannego

przez jakieś dwanaście godzin. Potrzebowała więcej lekarstw, i to mocniejszych, zwłaszcza jeśli miała znów nastawiać mu nogi. Butelka zagrzechotała jak zabawka dla niemowląt, gdy Franka chowała ją do kieszeni.

Od starego stołu na środku pokoju zabrała jedno z drewnianych krzeseł. Nada się. Podniosła je nad głowę i z hukiem rąbnęła o podłogę. Nic się nie stało – krzesło pozostało całe. Pokręciła głową, śmiejąc się pod nosem. Poszła do zlewu, znalazła młotek i kilka śrubokrętów różnej wielkości. Po kilku minutach dysponowała solidnymi kawałkami drewna, których będzie potrzebować, by nastawić mężczyźnie nogi, zanim uda się jej załatwić tę sprawę w sposób bardziej trwały.

Udała się do sypialni. Mężczyzna się nie poruszył. Miewała już do czynienia z gorszymi złamaniami, ale w szpitalu. Jak mają mu się zrosnąć kości bez gipsu? Martwiła ją nawet nie tyle kwestia samodzielnego zdobycia i przygotowania opatrunku, co podejrzenia, jakie zakup gipsu mógłby na nią ściągnąć. Jeśli zachowa ostrożność, może zyska niewielką szansę kupienia go bez narażania się, będzie też potrzebować jedzenia i morfiny. Pozostawało pytanie, w jaki sposób dostanie się do miasta, ale na razie odepchnęła je od siebie.

Odwiązała liny przytrzymujące łubki z gałązek i odłożyła te ostatnie na bok jako opał. Dla mężczyzny, przytomnego czy nie, następny etap miał być ciężki. Należało zdjąć te brudne spodnie i buty. Franka zaczęła rozplątywać sznurówki, co jakiś czas spoglądając w górę, na jego twarz, świadoma każdego grymasu, o jaki go przyprawiała. Rozwiązała sznurowadła i łagodnie nacisnęła but, próbując go ściągnąć. Kość nogi mężczyzny poruszyła się, krzyknął. Dziwnie było patrzeć na jego reakcje. To jakby zakwiliła mario-netka zrzucona na podłogę. Franka przerwała, czekając, aż ranny się obudzi, ale do tego nie doszło. But w końcu się zsunął, przesunęła dłońmi w górę, by wymacać kość. Doszło do przemieszczenia, ale niewielkiego, więc nastawiła ją z powrotem, wyrównując. Pra-

wy but mężczyzny z głuchym stukiem upadł na przykrytą cienkim dywanem podłogę. Wzięła głęboki wdech, szykując się do nastawiania drugiej nogi. Nie chciała przecinać sznurówek: w takich czasach buty stanowiły majątek nie do pogardzenia. Tym razem zrucie buta zajęło jakieś pięć minut. Doświadczenie, które Franka zdobyła przy pierwszej nodze, sprawiło, że tym razem poszło łatwiej. Skarpetki zsuwały się cal po calu, odsłaniając posiniaczone i spuchnięte stopy. Nożyczki przyniesione z salonu szybko załatwiły sprawę ze spodniami mężczyzny i wkrótce leżał on już tylko w bieliźnie, nadal na saniach.

Kawałki krzesła okazały się przyzwoitymi łubkami i nastawione nogi rannego dobrze się trzymały. W następnej kolejności ściągnęła z niego kurtkę Luftwaffe i rzuciła w kąt pokoju. Równie łatwo udało się zdjąć koszulę, a potem mężczyzna był gotów do położenia na łóżku. Franka obeszła go i zsunęła z sań. Na szczęście łóżko było niskie, umieściła na nim tułów mężczyzny. Wciągnęła rannego na czystą pościel, świadoma, że ciągle jest pokryty brudem. Ale leżał jednak na łóżku. Zrobiła krok w tył z poczuciem chwilowego triumfu, zachwycając się widokiem nieznanego na jej starym łóżku w górskim letnim domku ojca.

To dobrze, że w kąpielni będzie nieprzytomny. Kąpała już wcześniej ludzi, ale jeszcze nigdy śpiącego nieznanego, i to poza szpitalem. Liczył się czas. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było jego przebudzenie akurat w chwili, kiedy będzie go szorować. Nic nie mogło być bardziej niestosowne.

– Czas do kąpielni, kochanie – uśmiechnęła się. – Jak ci minął dzień? Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło, kiedy wracałam ze szpitala.

Starła się nie mówić na tyle głośno, żeby go obudzić. Żaden żart nie byłby wart czegoś takiego. Postawiła przy łóżku cebrzyk podgrzanej wody i wzięła do ręki myjkę. Zasnęta ziemia zmieniała się w błoto, gdy Franka spryskiwała twarz rannego wodą. Wycierała go silnymi dłońmi.

– Znalazłam mężczyznę – tak, mężczyznę – leżącego w śniegu. I to jeszcze w mundurze Luftwaffe! – Od wielu dni z nikim nie rozmawiała. Dobrze było mówić na głos, nawet do nieprzytomnego nieznanego. – Nie, kochanie, mówię całkiem poważnie. Wiesz, że porządnej niemieckiej żonie nie przystoi robić sobie żartów z męża. Zwłaszcza gdy w trakcie naszej rozmowy dzielni żołnierze na froncie rosyjskim ryzykują życiem dla przyszłości wielkiej Rzeszy.

Położyła dłoń na jego czystej już twarzy.

– A może chcesz posłuchać radia? Cóż, obowiązkiem dobrej żony jest spełniać wszelkie twoje zachcianki.

Przeszła do salonu i włączyła radio na baterie. Eter niemieckich radiostacji zanieczyszczał zwykły zgiełk wiadomości i propagandy. Radiodbiorniki były wydawane przez władze i odbierały wyłącznie stacje zatwierdzone przez rząd. Większość ludzi umiała jednak przerobić je w taki sposób, by słuchać zagranicznych audycji, więc Franka mogła nastroić radio na szwajcarską emisję nowego przeboju Tommy'ego Dorseya z zespołem. Chatę wypełnił bigbandowy swing. Dzięki muzyce, wciąż z myjką w dłoni, Franka znalazła chwilę wytchnienia. Gdzieś tam ludzie wciąż tworzyli taką muzykę, nadal słuchali, tańczyli i żyli. Nagle znów poczuła, że ma coś wspólnego ze światem, na który zdążyła już machnąć ręką.

W ciszy dokończyła mycie rannego i pozwoliła muzyce, by przez nią płynęła.

– Czysto – powiedziała. Na szafce nocnej położyła aspirynę i szklanek wody. Otuliła mężczyznę kołdrą, a przy jego stopach ułożyła termofory. Kim był? Skąd tu się wziął? Jak, do diaska, miała zachować jego obecność w tajemnicy przez jakieś sześć tygodni niezbędnych, by zrosły mu się kości? Jak na nią zareaguje po przebudzeniu?

Stała w przejściu, wpatrując się w niego przez kilka minut, a muzyka wciąż unosiła się w powietrzu, nim Franka poddała się skurczom głodu dżgającym jej żołądek.

– Jutro – powiedziała na głos. – Jutro się dowiem, coś ty za jeden.

Wyjęła klucz z drzwi i zamknęła za sobą.

Głód wziął górę nad potrzebą kąpieli, poszła więc do kredensu po puszkę zupy. Wspaniale byłoby mieć trochę chleba, ale zjadła już cały, razem z serem przyniesionym poprzedniego wieczoru. Miał to być jej ostatni posiłek. Usiadła przy stole, wpatrując się w przestrzeń, gdy zupa grzała się na kuchence, i układała w głowie listę wszystkiego, co będzie potrzebne, by pozwolić jej i człowiekowi w sypialni przeżyć zimę. Jakoś musiała się dostać do Fryburga, żeby zdobyć żywność, gazę, gips, aspirynę i morfinę. Oznaczało to około piętnaście kilometrów w jedną stronę. W zwykłych okolicznościach po prostu by pojechała, ale pogoda udaremniła najprostsze wyjście. Franka wstała i poszła do szafki w pobliżu tylnych drzwi. Jej stare narty biegowe leżały nietknięte z tyłu, za starymi płaszczami zimowymi i różnymi innymi rupieciami, nagromadzonymi przez lata. Minęło ponad dziesięć lat, od kiedy ostatnio na nich jeździła. Była wtedy jeszcze nastolatka, jej matka wciąż żyła i przyjeżdżały tu każdej zimy. Sięgnęła i poczuła w dłoniach ciężar nart. Chyba nie miała innego wyjścia. Wzięła narty pod pachę i wróciła do kuchni. Zupa była gotowa, więc Franka naląła ją do miski i pochłonęła w kilka sekund. Jedzenie chyba tylko pobudziło jej głód. Przygotowała następną puszkę, obiecując sobie, że we Fryburgu kupi nową.

Druga porcja zupy załatwiła sprawę, ale pozostawało jeszcze przepracowane paskudztwo lepiące się do ciała. Myśl o podgrzaniu na piecyku całej wody, której będzie potrzebować, wydawała się prawie ponad siły, ale sama woń, którą Franka musiała roztaczać, stanowiła dla niej wystarczającą motywację. Postawiła więc na piecyku czajnik i dwa duże rondle wody, po czym usiadła, obserwując, jak zaczynają wrzeć. Świadomość obecności w domu nieznanego, choć unieruchomionego i nieprzytomnego mężczyzny towarzyszyła jej, gdy zamykała drzwi, by się

przebrać. Weszła w szlafroku do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Światło świecy nadawało pomieszczeniu rozluźniającą atmosferę, ale brak wody już niekoniecznie. Wspaniała kąpiel, o której marzyła Franka, sprowadzała się do siedzenia w wannie i szorowania się.

Gdy wyszła, ociekając wodą po kąpeli, uderzył w nią chłód chaty. Chwyciła ręcznik i wycierała się najenergiczniej, jak mogła, rozgrzewając się za pomocą tarcia. Gdy była już sucha i w szlafroku, podeszła do lustra. Nie patrzyła na siebie od wielu dni. Jej blond włosy do ramion przywierały zmierzwiłone do karku. Błękitne oczy miała przekrwione i silnie podkrążone. Przeczesała włosy, krzywiąc się z bólu przy rozczesywaniu splątanych kosmyków.

Pomyślała o panu Berkelu i wspomniła jego syna, czarującego *Hitlerjunge*, w którym się zadurzyła, należąc do Związku Dziewcząt Niemieckich, żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend. Każdy, kogo znała, wstąpił do tych organizacji. Stało się to obrzędem przejścia. Niezapisanie się byłoby równoznaczne z napiętnowaniem chłopca czy dziewczyny jako słabeusza, parweniusza albo symulanta. Może nawet pariasa.

Ogarnęła ją fala paranoi. Skąd miała wiedzieć, że Berkel ich nie widział? Może ich zobaczył i już zdążył donieść na Gestapo? Wydawało się to nieprawdopodobne, ale kiedy nikomu nie można było ufać, nie było miejsca na błędy.

Noc zapadła. Franka zapaliła świece w kuchni i łazience, a także lampę naftową w salonie. Mężczyzna ciągle spał, kiedy do niego zajrzała. Wróciła do sypialni i choć jej ciało pragnęło snu, to nie mogła sobie na niego pozwolić. Jeszcze nie teraz. Znow się ubrała. Gestapo mogło przyjść w każdej chwili. Ranny był narażony. Ukrycie go w szafie tylko o parę sekund przedłużyłoby czas po-

trzebny na jego znalezienie, a obrażenia miał zbyt poważne, by go schować gdzieś na zewnątrz, na mrozie. Z przebiegającymi przez głowę koszmarnymi scenariuszami – z których każdy był realistyczny – Franka wróciła do sypialni, gdzie leżał nieznajomy. Nie byli bezpieczni, nawet tutaj, szczególnie, jeśli miała udać się do miasta. Mundur Luftwaffe wciąż leżał skotłowany w kącie, gdzie go rzuciła. Jeżeli przypadkowo nieznajomy faktycznie należał do Luftwaffe, mogła mu go oddać. Jeśli, co znacznie bardziej prawdopodobne, był Brytyjczykiem albo Amerykaninem, to mundur doprowadzi jedynie do rozstrzelania go jako szpiega. Trzeba było go schować, ale gdzie?

Tupnęła nogą i usłyszała głuchy, drewniany stuk desek podłogowych. Zabrała z kuchni skrzynkę z narzędziami, poszła do sypialni, w której spał ranny, po czym podciągnęła cienki chodnik, odsłaniając deski. Gdyby je wyrwała, mogłaby stworzyć skuteczną kryjówkę. Najpierw jednak musiała przesunąć łóżko. Podeszła do niego z boku i przesunęła, wraz ze wciąż śpiącym mężczyzną, na drugi koniec pokoju.

Wbiła pazur młotka w szczelinę przy końcu jednej z długich desek, po czym pociągnęła go ku sobie, podważając deskę ku górze. Po kilku minutach zmagania uparta deska puściła. Dłońmi w rękawicach Franka oderwała ją do końca i oparła o ścianę, odsłaniając półmetrową przestrzeń pod podłogą. Panował tam brud i dojmujące zimno, ale po odrobinie sprzątania i podłożeniu kilku koców kryjówka mogłaby spełnić swoje zadanie. Zabrała się do pracy z sąsiednią deską, zastanawiając się, ile z nich będzie musiała wyrwać, by zmieścić rannego. Im mniej, tym lepiej – wszystko musiało wyglądać jak najnaturalniej.

Kasznięcie od strony łóżka wyrwało ją ze skupienia, młotek wypadł jej z dłoni prosto do wykonanej dziury. Wstała, a oczy mężczyzny nagle się otwały. Usiadł na łóżku z twarzą wykrzywioną w potwornym grymasie. Zamknął oczy, znów je otworzył, po czym odwrócił się w stronę, gdzie stała Franka w peł-

nym osłupienia milczeniu. Ból i oszołomienie przyćmiewały mu wzrok.

– Kim pani jest? Dlaczego mnie tu pani trzyma? – zapytał w idealnej niemczyźnie.